Cena 80 mk.
№ 18. Warszawa, 29 kwietnia 1922. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

STRASZNE DZIECI w... GENUI.

Patrząc na bajkę K. H. Rostworowskiego, wystawioną w „Rozmaitościach“, myślałem o tem, że rzeczywistość jest jeszcze smutniejszą od tej przepojonej Ironją bajki dramaturga-filozofa.

Oto stare „straszne dzieci“, ludy Europy podpaliwszy swój własny gmach, nawet wśród rumowisk i zgliszcz nie wykazują chociażby pozornej, jak „dzieci“ Rostworowskiego, skruchy, nie wyrzekają się *Fufy*, nie przestają „śnić o cudzie i obstawać przy obłudzie“.

Czyż Konferencja Genueńska nie jest upokarzającym widowiskiem narodów, ubiegających się o łaski Fufy — „Babilonji Wielkiej“ — „szczęśliwości rodzicielki, co wciąż daje, nic nie bierze“ — wydzierających sobie nawzajem róg obfitości, który jest próżnym, ale to kompletnie próżnym! Cała ta wielka blaga „odbudowy Europy“ drogą układów z Sowietami czem jest, jak nie Fufą — wielką kukłą, jadącą na czerwonym koniku i wachlującą się próżnym rogiem obfitości?

Jakie *testimonium paupertatis* wydali sobie na Konferencji Genueńskiej pomimo całej zręcznie robionej reklamy i mężowie stanu, i ekonomiści, i finansiści, bezrądni wobec ordynarnych kawałów spryciarzy, drwiących oczywiście z usiłowań nalania z próżnego.

Saint-Brice w „Le Journal“ pisząc, że Francja nie boi się izolowania, złośliwie wyśmiewał ten „wielki jarmark, na który zbiorą się z całego swiata handlarze leków cudownych, rzekomi ekonomiści, łatwo dający sobie radę z rumowiskami katastrofy światowej i posiadający sekret odbudowy swiata, wynalazcy kamienia filozoficznego, prorocy natchnieni zgody powszechnej“.

„Jeżeli, — pisał publicysta francuski, — aby nie być izolowanym, trzeba składać ofiary na ołtarzu tych chimer, to pozostaniemy raczej izolowani, ponieważ polityka francuska odwołuje się do zdrowego rozsądku i do rozsądnego realizmu.“

„Zgoda powszechna“, „odbudowa świata“... czyż nie są to piękne rzeczy, dla których warto coś złożyć w ofierze?

Niewątpliwie są to piękne rzeczy, ale Konferencja Genueńska jest wstrętną i niebezpieczną blagą właśnie przez to, że nie stawiając realnych podstaw dla tych pięknych rzeczy, któremi łudzi narody, wytwarza atmosferę kłamstwa, obłudy i nieufności, która najmniej sprzyja i zgodzie powszechnej, i odbudowie świata.

Do Genui zjechali się uczestnicy Konferencji nie w duchu zgody i chęci podjęcia ofiar i pracy, niezbędnych dla rzeczywistej odbudowy świata, lecz w tym samym nastroju, który już raz spowodował pożar powszechny, kiedy „każdy rzucał zapałeczkę, reflektując na ucieczkę“.

Tak i dziś. raz już popaleni, lecz bynajmniej tem nie nauczeni, wydzierają sobie ludziska róg obfitości i myśląc tylko o swoim zysku, każdy reflektując na ucieczkę, chcąc złapać jak najwięcej, nie widzi tego, że róg trzeba napełnić wprzód, nim coś wziąć z niego. Wierzą w dalszym ciągu ludziska w Fufę, „co wciąż daje, a nic nie bierze“, każdy gotów jest sąsiadowi nogę nadeptać, pchając się do mniemanego źródła obfitości.

Z takiej „współpracy“ chyba nowy pożar, ale nie odbudowa Europy wyniknąć może. To też najmocniej stoją w Genui właśnie podpalacze, którzy innego celu, jak pożar światowy nie mają, i którzy, wiedząc czego chcą i drwiąc z naiwnych, idą do celu.

„Jedzie Fufa, jędzie Fufa
na koniku sobie,
a koniczek Fufie ufa.“

Lecz więcej nikt nikomu nie ufa. I z tej powszechnej nieufności, z tego powszechnego roznamiętnienia apetytów łatwo może nowy pożar wybuchnąć. I każdy figiel bolszewicki jest „zapałeczką“, rzuconą dla wywołania pożaru. I dawno już Europa nie była tak blizką nowego pożaru, jak właśnie dziś, tu na tej konferencji, która miała

przywrócić zaufanie w stosunkach międzynarodowych. Zapanowało mylne i zgubne przeświadczenie, że pożar można zażegnać przez ugłaskanie podpalaczy, i że figle ich można figlami zrównoważyć. Mylne rachuby. Nie pomogą ani włoskie grzeczności, ani kawały angielskie, ani ryskie figielki. Tylko zupełnie stanowcza i bezwzględnie uczciwa postawa wobec figlarzy i podpalaczy może pożar zażegnać.

Taką postawę zachowuje Francja, którą oskarżają o to, że nie chce pokoju, nie chce rozbrojenia i wojnę nową prowokuje. Tyle w tem sensu i prawdy, co w twierdzeniu, że pożaru chce ten, co straż ogniową szykuje. Jeżeli umizgi genueńskie do Fufy, trzymającej w ręku dawno wypróżniony róg obfitości, nie skończą się nowym podpaleniem domu, jeżeli blaga genueńska przyniesie ludzkości tylko zasłużoną kompromitację, a nie nową klęskę, to tylko dzięki stanowczej i uczciwej polityce Francji.

Narody muszą wejść na drogę zgody powszechnej, pracy pokojowej i odbudowy świata, ale to nie ta droga, po której Fufa na koniku jedzie, a za nią biegną niepoprawne, stare „straszne dzieci.“ **Leon Kozłowski.**

„EURAZJA“.

II.

Patrzymy dziś na wojnę, jako na wielki samobójczy akt, dokonany przez Europę na sobie samej. Nikt rozsądny wojny nie chciał. Wprawdzie od szeregu lat wisiała nad Europą burza, mogąca powstać z rywalizacji Anglji i Niemiec na rynkach świata, ale mężowie stanu angielscy nie szczędzili starań, aby burzę zażegnać zaś cesarz Wilhelm prawie się ośmieszał w oczach narodu swojego swoim strachem przed wojną, przy upartem, pomimo to, brząkaniu szablą. To zaś, co się stało bezpośrednim wojny powodem — ultimatum austrjackie, mogło być bez trudności załatwione na kongresie. Ale gdy wojna wybuchnęła, szał walczących wzrastać począł z dnia na dzień, udzielając się tym nawet, co mogli pozostać widzami. Przypominamy Włochy, ten tak praktyczny, trzeźwy, wyrachowany naród. Rzucili się jednak do walki, stawiając byt swój na kartę, byle otrzymać trochę więcej, niż to, co im państwa centralne ofiarowywały. A Rosja? Leżała powalona przez Niemcy, ogarnięta rewolucją; nadziei zwycięstwa nie było żadnej, a na ustach jej polityków wciąż brzmiało jedno: **do połnoj pobiedy nad wragom,** t. j. nie odparcie nieprzyjaciela, nie zaszczytny z nim pokój, jako cel ale zmiażdżenie! Czy to był heroizm? Nie. Heroizm stawia cele trudne, lecz nie stawia niemożliwych. To była histerja.

Ani logicznie, ani psychologicznie ów masowy obłęd narodów wytłumaczyć się nie da. Wytłumaczyć go można chyba tylko mistycznie, przez owo straszne, nieubłagane, tajemnicze prawo krwi, o którem przed stu laty nauczał J. de Maistre... Niedawno wpadł mi do rąk życiorys literata francuskiego Ernesta Psichari*), który poległ na samym początku wojny. Przyjaciele opowiadają o nim z tem uczuciem, z jakiem się mówi o świętym, którego się czci na ołtarzu: **Ce jeune homme ivre de sacrifice, la France Chretienne peut l'invoquer dans ses prieres.** Ciasno mu było na brukach miast, dusza jego rwała się do szerokich przestworzy, do wielkich czynów, trawił ją głód heroizmu. I gdzież znalazły ujście owe buchające w nim żądze walk i poświęceń? Zrazu w Afryce. Zaciągnął się tam do wojska koło roku 1908 — i oto co pisał wkrótce po swojem tam przybyciu: „Afryka jest jednem z ostatnich schronisk dla naszej energji narodowej“. Tam się ona wyrabia, hartuje, tam uczy się Francuz być prawdziwym żołnirzem. A naukę tę uważał Pischari za najpotrzebniejszą w owej chwili. Czuł nadchodzącą wojnę. Będzie ona „cudownym poematem krwi i piękna“... **(un indiciblepoeme de sang et de beaute)**... ..bo my, Francuzi — objawiał myśl swoją — lubimy wojnę i w głębi duszy pragniemy jej. Wojny prowadziliśmy zawsze; ale nie po to, aby zdobywać kraje obce i wytępiać obce narody, ani też dla załatwiania konfliktów w interesach z sąsiadami; przyczyny te istniały także, lecz znaczyły niewiele. W rzeczywistości wojowaliśmy dla samej wojny, bez żadnej idei, z samego tylko zamiłowania. Wojna była naturalną dla nas potrzebą wyładowania energji, była prawem naszem, racją bytu, wiarą“*)

Zaiste cenne wyznanie, nauczające nas, że nietylko Niemcy, jak to nam wmawiano, są militarystami. Słowa te wymowne, a w wymowie swojej straszne, cofają nas wstecz do wspomnianego przed chwilą J. de Maistre'a. Świat cały— twierdził ów dziwny apologeta Kościoła Katolickiego—stoi na niesprawiedliwości powszechnej i bezwzględnej; od stworzenia świata krew przesyca ziemię, jak rosa, i wyziewem krwi jest atmosfera, którą oddycha wszystko, co żyje. Wojna to stan naturalny rodu ludzkiego, krew bez przerwy lać się musi po kuli ziemskiej. Narzekamy na potworność wojny, a jednak ponad wszystko wynosimy i wysławiamy żołnierza, nieświadomie w nim czując wykonawcę przedwiecznie ustanowionego porządku i prawa. Od początku składali ludzie krwawe ofiary bogom swoim, domyślając się instynktem, że morderstwo z potrzeby, czy z namiętności, z pobudek egoistycznych i utylitarnych nie wystarcza, nie jest jeszcze hołdem, złożonym tajemniczemu prawu krwi. Tym hołdem staje się dopiero ofiara krwawa, jako mord bezinteresowny, a zatem idealny, natchniony ideą uczestniczenia w prawie, stanowiącem fundament bytu. Konsekwencja zaś myśli nieodparcie doprowadzała do wniosku, że zakończeniem nieuniknionem i niezbędnem koncepcji tej jest ofiara z krwi ludzkiej.

Z filozofją tą, która mrowiem przeszywa człowieka, można się godzić albo nie, ale tego już zaprzeczyć nie można, że słusznie stwierdza zasadniczą sprzeczność między walką o byt, która jest prawem natury, a sumieniem, które przeciw prawu temu protestuje—i że stwierdziwszy tragiczną bezsilność protestu, usiłuje to wytłumaczyć nie rozumowo—bo to się nie da—lecz mi-

*) „La vie d' Ernest Psichari“ par Henry Massis.

*) „Parceque c' était notre loi, notre raison secrète notre foi!“

stycznie. Skoro jednak człowiek nie jest w stanie uchylić się z pod fatalnej władzy prawa, które go pcha, mimo woli i myśli, do zabijania bliźnich, to czy nie lepiej zagłuszyć w sobie daremny protest, a natomiast w wykonywaniu krwawego prawa szukać jakichś godzących z nim pierwiastków. Wojna stanie się wtedy poematem, chwała zaś wojenna „racją bytu“, jak pisał Psichari, stosując to zresztą do Francji tylko. „Nie chcieć tego uznać—dodawał—to znaczy chcieć spaść do poziomu Niemiec dzisiejszych, gdzie wszystko poświęcają interesom życia praktycznego“...*)

„I ażeby do poziomu tego nie spaść, wszczęto wojnę i doczekano się, że „cudowny poemat krwi i piękna“ pogrążył Europę w nędzy i błocie z którego nie widać ratunku...

Ziemia jest nikłym atomem na tle ogromu bytu. Możemy, mamy prawo, nawet powinniśmy wierzyć, iż ze stanowiska wszechświatowego przedwiecznego porządku, jakiejś przewodniczącej jemu wyższej a nam niedostępnej idei wszystko, co na tym atomie się dzieje, ma jakieś głębsze znaczenie i że jest w tem piękno, którego dalekie odblaski, zdaje się nam, że niekiedy dostrzegamy. Ale sam w sobie, bez związku z ową całością, o której dowolnie snuć możemy najcudowniejsze rojenia, nie mając, nie mogąc mieć żadnego ścisłego, adekwatnego o niej pojęcia—sam w sobie nasz świat doczesny bezładem jest, bezrozumem: jest irracjonalny; oczy sobie zamknąć należy i uszy zatknąć, aby nie widzieć tego i nie słyszeć. Tymczasem, mędrcy i poeci tak w Grecji, jak w Chrześcijaństwie, zamykając sobie oczy i zatykając uszy, wszyscy, za nielicznemi wyjątkami, jednem byli zajęci—wmówieniem i sobie i innym, że wszystko, co jest, jest rozumne.

Ale po wielkich kataklizmach, próby racjonalistycznego tłumaczenia świata rozpadają się same przez się. W lutym i marcu 1917 roku, w chwili wybuchu rewolucji rosyjskiej, miałem na wyższych kursach polskich w Petersburgu szereg wykładów o podstawach kultury nowoczesnej. Zastanawiając się na ostatnim, jakie mogą być w świecie ducha konsekwencje wojny światowej, wyraziłem zdanie, że nastąpi, że musi nastąpić wyraźny, stanowczy antyracjonalistyczny zwrot, że irracjonalizm zapanuje w sferach religji i filozofji. Przypuszczenie moje sprawdza się. Wiara w rozum, twórcę cywilizacji, rozchwiała się po tym nieudałym sromotnym popisie, jakim była wojna. Pojawiają się książki o końcu cywilizacji zachodniej. Jeszcze Schelling pisał o **Selbstfersetzung**, o **Verzweiflung der Vernunft**, w tym kierunku szły uczucia romantyków, a uczuciom tym mocną filozoficzną podstawę dawał Schopenhauer, ogłaszając i objaśniając świat, jako wyraz ślepej, bezrozumnej woli życia: nasiona przez niego zaś rzucone wydawały i wciąż jeszcze wydają swój plon w myślach, w dziełach, w systemach z pozoru nawet dalekich. I to wszystko to nie bez uczucia **Schadenfreude** stwierdzają dziś Eurazjatyści.

„Żyliśmy—opowiadają oni—w Europie i Europą. Z pojęciem Europy łączyliśmy pojęcia: cywilizacji, kultury, postępu; ani się śniło nam, że Europa zachwiać się może w posadach swoich. Wszystko, co po za Europą, wydawało się nam mrokiem. Ale przyszła wojna—i wraz z wojną wielki niespodziewany krach wszystkiego, na czem staliśmy, czem żyliśmy; Europa zwątpiła o sobie, tembardziej my wątpić o niej możemy. „Nowy wskutek tego rozesłał się przed nami widnokrąg dziejowy; co było, to ulatnia się, zanika, przed okiem—wszędzie—nieskończoność“.

Ze zwątpienia zaś o Europie wypływa zwątpienie o prawdzie racjonalizmu, na którym tak mocno stała i rozwijała się myśl Zachodnio-Europejska. Już w połowie wieku zeszłego Mickiewicz u nas, Chomiakow i słowianofile w Rosji wypowiadali wojnę racjonalizmowi Zachodu, ale racjonalizm brali tylko ze strony psychologicznej; na Zachodzie, mianowicie, w mniemaniu ich, u Niemców przewarzał suchy, zimny, trzeźwy rozsądek, gdy u Słowian żywym był pierwiastek uczucia i entuzjazmu—i ten zapewniać im miał przodownictwo w przyszłych dziejach świata. Nie domyślali się, że kwestję tę bezporównania głębiej już postawił był Schopenhauer. Bo co znaczyć mogą jałowe spory o to, czy Niemiec, w porównaniu ze Słowianinem, jest w myśleniu swojem i postępowaniu więcej, czy mniej racjonalistą, skoro świat cały jest w budowie swej irracjonalny, czyli jest czemś, co nie powinno istnieć, czemś nie dającem się usprawiedliwić ze stanowiska rozumu, oczywiście rozumu zamkniętego z natury swojej w świecie zewnętrznym, fenomenalnym, któremu niedostępną jest sama istota rzeczy, owo kantowskie **Ding an Sich...**

Irracjonalizm zarówno w najgłębszej istocie swojej, jak i w konsekwencjach praktycznych, jest rozpaczliwem w tonie, ale potężnem wołaniem do czynu, do walki z bezrozumem świata. Za racjonalizmem idzie afirmacja heroizmu. Albowiem w świecie racjonalistycznym, a raczej za taki przez nas uznanym, wiemy z góry, że Opatrzność wszystko ku Dobru kieruje, że do Dobra jesteśmy predestynowani i że pozostaje nam tylko dostosować się do tego, nie przeszkadzać dobroczynnej ręce, prowadzącej świat; irracjonalizm — przeciwnie — nakazuje czynnie występować przeciw temu, co samym pryncypem jest bytu, przeciw tyranji bezrozumu. Irracjonalizm całkowicie przenosi punkt ciężkości w głąb jednostki ludzkiej, tem samem nakłada na nią olbrzymie obowiązki, którym Rosjanin, w przeświadczeniu Młodej Rosji, podoła łatwiej, niż kto inny, dzięki swej szczególnej wrażliwości na zagadnienia i imperatywy religijne.

Tymczasem pociąg do racjonalizmu tak się zrósł z Zachodem, że nawet powstające tam od czasu do czasu reakcje przeciw temu, niczem innem nie są, jak racjonalizmem przebranym, nową jego postacią. Taką n. p. jest głośna dziś filozofja Bergsona. Choć na miejscu Heglowskiej idei absolutnej, której rozwojem jest świat, postawiła ona jakiś **elan vital**, nie mający w zasadzie żadnej wspólności z rozumem, ale „ten pozarozumowy pierwiastek objawia się i realizuje według całkowicie rozumnego planu“. Ten upór

*) Ce serait vouloir nous mettre au point de l'Allemagne catuelle, ou tout est sacrifié aux entreprises de lą vie pratique.

Zachodu w racjonalizmie tłumaczą eurazjatyści wpływem myśli żydowskiej; był on potężnym już za czasów Spinozy, szczególnie zaważył osobą Marxa, dziś zaś wzmocnił się nowym przypływem, hałaśliwem wtargnięciem, niemal zagarnięciem filozofji przez cały szereg wybitnych umysłów żydowskich. Żydami są Gusserl, Cohen, Simmel, G. Kantor, Minkowsky, Weininger, Freid i przedewszystkiem osławiony, przereklamowany Bergson. Oczywiście, nie jest, nie może być racjonalizm właściwością specyficznie żydowską; filozofowie Aryjczycy nie negowali ani bagatelizowali znaczenia rozumu. Ale Aryjczyk jest z instynktu panteistą, przedmiotem uwielbienia jego jest bujne, potężne życie natury, wczuwa się w rozlaną w niem boskość, judaizm zaś stawiał pryncyj życia ponad życiem, jako Boga, który **ex nihilo** stworzył świat: wspaniałym był monoteizm proroków w odczuciu nędzy człowiek przed Panem, „przed którym nie usprawiedliwi się żaden żywy człowiek", lecz na wysokości tej utrzymać się trudno — i wyodrębnianie Boga od świata powoli przeistaczało się w materjalizowanie jego: „Bóg żydów — pisze Florowski — to Bóg administrator i sędzia nieprzekupny, stojący na straży ustanowionego przez się porządku i niemiłosiernie karzący wszelkie przeciw niemu wykroczenia"; religja żydowska przybrała wskutek tego postać kodeksu prawnego. I tę postać ma ona na Zachodzie, gdzie pierwiastek żydowski stanowczo wziął górę w religji, w systemach teologicznych, szczególnie zaś katolickich, nad pierwiastkiem aryjskim.

(D. n.)

M. Zdziechowski.

WALUTA.

I.

Rzekomo magiczne słowo. Ludzie często przytaczają powiedzenie angielskiego męża stanu o trójcy zjawisk, zdolnych wywołać obłędne zamącenie pojęć. Miłość, metafizyka, waluta— oto „niezbadane puszcz litewskich przepastne głębiny". Miłość, metafizyka i waluta może mają punkta styczne, ale chyba inne. Waluty nie zaliczam do nierozwiązalnych zagadek. Przeciwnie. Wydaje mi się problemem jasnym i prostym. Zamięszanie pojęć przypisuję nie zawiłości zagadnienia, a raczej obawie spojrzenia w oczy prawdzie demaskującej chęć używania tanim kosztem, wzbogacenia się materjalnego i kulturalnego bez wysiłku, bez oszczędności. Drożeją towary i pieniądze zagraniczne (gotówkowe czyli waluty i wierzytelności, na nie opiewające, czyli dewizy). Dlaczego?

Rozwiązanie zagadki ułatwia stwierdzenie z całą stanowczością, że nikt, nie wyłączając państwa, nie może więcej wydać, niż zainkasował. A jednak już przed wojną koncesjonowane banki emisyjne puszczały w obieg banknoty. Stwarzały pieniądz, którym płaciły. Wówczas chodziło o stosunkowo małe kwoty. Dziś powszechną zwraca uwagę, że państwa o pustym skarbie ratują się wybijaniem pieniędzy papierowych. Wbrew pozorom, ten sposób finansowania wojny jest tylko pozornym wyjątkiem od zasady: „Z próżnego nikt nie naleje". Osoba prywatna, fizyczna i zbiorowa, zdobywa środki utrzymania zarobkowaniem, ewentualnie pożyczaniem. Państwa postępują podobnie. Właściwością, która wyodrębnia ich gospodarkę od prywatnej, jest przymusowy zabór dóbr, posiadanych przez poddanych, czyli zasilenie skarbu podatkami w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Wybijanie pieniędzy papierowych nie jest niczem innem, jeno ukrytym podatkiem.

W chwili wybuchu wojny wydatki pieniężne państw wojujących znacznie wzrosły. Podniesiono żołd żołnierzy i oficerów. Zwiększono ich liczbę. Wypłacano wielkie sumy za żywność, za materjał i broń, potrzebną wojsku. Nie wystarczały dochody z przedsiębiorstw i podatków. Trzeba było zaciągnąć pożyczki. Apel do tych, którzy posiadali już wybite pieniądze, nie był bezskutecznym. Nie zapewnił jednak dostatecznych funduszów. Państwa zaraz z początkiem wojny zwróciły się do banków emisyjnych o pożyczki. Inne osoby i organizacje w państwie mogą wypożyczyć tylko tyle, ile mają w kasie. Specyficznem znamieniem banków emisyjnych jest nadany im przez państwo monopol puszczenia w obieg pieniędzy. Gdy chcą pożyczyć, a nie mają pieniędzy, wybijają nowe. Banki emisyjne pożyczyły państwu tyle, ile zażądało. Dlaczego państwa nie wybijały własnych pieniędzy papierowych? Dlaczego płaciły banknotami banków emisyjnych? Chciały wywołać wrażenie, że ciągle jeszcze płacą dawnym pieniądzem, do którego ludność przywykła, pieniądzem papierowym, wymienialnym na złoto. Banki pożyczały państwom banknoty formatu przedwojennego, ozdobione dawnym rysunkiem i napisem. W rzeczywistości całkiem inne. Dawne były każdej chwili płatne w złocie. Nowe oczywiście nie mogły być wymienialne na złoto. Wobec pomnożenia ich liczby, nie starczyłoby drogocennego kruszcu. Państwo z chwilą wybuchu wojny zniosło obowiązek wypłacania złotem. Zachowało pozory, bo „mundus vult decipi".

Koszt wybicia banknotów w pierwszych miesiącach wojny był minimalny. Stanowił une quantite negligeable. Zdawałoby się zatem, że rozwiązano problem alchemji, że państwo może płacić z niczego. Po dziś dzień nie brak ludzi, którzy nie uprzytomnili sobie niemożliwości podobnego stanu rzeczy, a przecie nie wahają się wygłaszać i drukować pseudo-uczonych wywodów monetarnych. Zachodzi pytanie, komu państwo zabrało siłę kupna, którą w formie niewymienialnych banknotów uszczęśliwia żołnierzy, urzędników, swych dostawców i wierzycieli? Mnożenie pieniędzy wywołuje drożyznę. Tym sposobem państwo jednym zabiera, drugim daje. Dla uspokojenia szerokiego ogółu, władze oczywiście bezskutecznemi środkami zwalczają drożyznę. Bezskutecznemi, bo przecie właśnie drożyzna jest ich głównym sposobem finansowania wojny. Także i pod tym względem postępują zgodnie ze wskazaniem „mundus vult de-

cipi". W średnich wiekach zabierano srebra kościelne, majątki fundacyjne na cele wojenne. Dziś odbywa się podobny proces, w formie bardziej wyrafinowanej, mniej szczerej. Nie zabrano Akademji Krakowskiej kilku miljonów listów zastawnych, któremi zawiaduje. Nie zabrano ich zakładom ubezpieczeń, kasom sierocym, kasom oszczędności, ludziom, którzy lat wiele ciułali ciężko zapracowany grosz do grosza, ażeby sobie zapewnić spokojną starość lub posag córce. Ale ich skarby topniały początkowo wolno. Później coraz szybciej i bezpowrotnie. Rosła ilość pieniędzy, a wraz z nią drożyzna. Siła kupna, rozdawana przez państwo w formie pieniądza, pochodzi z jej zaboru wierzycielom wszelkiego rodzaju, oraz osobom, które nie są w stanie podnieść swych dochodów w stosunku odpowiadającym deprecjacji pieniądza. Państwo nie oszczędza własnych wierzycieli. Gdy niema pieniędzy, może zawiesić wypłaty. Dzisiejsze państwa wolą ratować pozory. Szukają wyjścia w wywołaniu drożyzny. Płacą procenta, a nawet zwracają długi. Wybijjaą na ten cel albo każą wybijać bankom emisyjnym nowe pieniądze papierowe. Zwracają wierzycielom znacznie mniej siły kupna, niż od nich pożyczyły, bo płacą w pieniądzu zdeprecjonowanym. Nie bankrutują formalnie, ale materjalnie w myśl wskazania, które już kilkakrotnie w tym krótkim artykule wymieniłem, jako miarodajne dla wojennej polityki finansowej.

Czyli jednak istotnie emisja pieniędzy wywołuje drożyznę towarów, walut i dewiz, oczywiście wzajemnie uwarunkowaną? Twierdzenie, wedle którego wahania w ilości pieniądza ceteris paribus conditionibus zmieniają proporcjonalnie jego wartość, jest nieomal truizmem. Wrazie pomnożenia ilości pieniądza jego wartość, czyli siła kupna, musi spaść. Drożyzna musi być w stopniu ściśle odpowiednim wynikiem pomnożenia ilości pieniądza, o ile inne warunki kształtowania się cen towarów pozostają niezmienione. Temu rozumowaniu można zarzucić tylko jedno: Niczego nie wyjaśnia, boć przecie nietylko ilość pieniądza, ale wszelkie inne współczynniki kształtowania się cen ulegają ciągłym, co gorsza, nieobliczalnym zmianom. To prawda. A jednak śmiem twierdzić, że teorja ilościowa wyjaśnia zjawiska lepiej ,niż inne sposoby ich tłumaczenia. Przeciwnicy teorji ilościowej, najczęściej w spadku produkcji dopatrują się przyczyny drożyzny. Produkcja spadła o 20,o 25 procent. Odpowiadałaby temu zwyżka cen o 33,o 50 procent. W rzeczywistości drożyzna dosięgła setek, a nawet tysięcy procentów. Wszystkie współczynniki kształtowania się cen uległy wahaniom po wybuchu wielkiej wojny, ale jakże drobnym w porównaniu z wielkością zmian w ilości pieniądza.

Puszczanie w obieg nowych pieniędzy odbiło się różnem nasileniem drożyzny w różnych państwach. Obok wielkości nowych emisji najbardziej zaważyła na szali wypadków ich tezauryzacja. Jest rzeczą jasną, że wycofanie z obiegu pieniędzy przez tych, którzy je otrzymali, zmniejsza tę ilość pieniędzy, która stanowi siłę kupna, podbijającą ceny towarów, walut i dewiz. Chłop, przechowując pieniadze w skrzyni, przeciwdziała drożyźnie.

Wymieniane bywają czesto inne przyczyny spadku naszej waluty. Ci, którzy wysuwają je naprzód, zapoznają, że są pochodnem zjawiskiem w stosunku do ilości pieniądza. Zwolennicy mniemania, że wartość pieniądza wobec towarów zależy przedewszystkiem od wahań w ich produkcji, wyjaśniają wartość pieniądza miejscowego w stosunku do zagranicznych stanem bilansu płatniczego. Kurs walut obcych jest oczywiście wyrazem popytu i podaży, czyli odzwierciedleniem bilansu płatniczego. Cóż jednak rozstrzyga o jego ewolucji? Czy popyt na dolary mógłby objawić się tak silnym wzrostem ich kursu, gdyby rząd nie powiększał ciągle podaży marek? Gdyby ich ilość była równie mało zmienna, jak ilość dolarów, stosunek jednych do drugic nie mógłby ulegać znaczniejszym wahaniom. Dolar rzekomo dlatego idzie w górę, ponieważ istnieje silne zapotrzebowanie towarów, nabywanych zagranicznym pieniądzem, a wywóz naszych jest mały. To także jest prawda, ale samo przez się nie wyjaśnia zwyżki obcych walut. Głód żebraka, który napróżno wyciąga rękę po jałmużnę, wcale nie podnosi ceny chleba. Podnosi ją chęć kupna człowieka chorego z obżarstwa, ale zdolnego i chętnego zapłacić bieżącą cenę targową. Zapotrzebowanie zagranicznych środków płatniczych mogło wyrazić się ich znaczną zwyżką tylko dzięki wzrastającej podaży marki.

Zagranica niechętnie udziela nam kredytu, ale jest odbiorcą marki polskiej. W jej oczach ryzyko kredytu nie znajduje dostatecznego zrównoważenia w wysokości procentu. Jest jednak odbiorcą marki, bo liczy na jej zwyżkę. Ma do niej raz większe, raz mniejsze zaufanie. Czyż zmiany w kursie walut obcych nie są wyrazem mniejszego lub większego zaufania do marki, do siły gospodarczej państwa i społeczeństwa, posługującego się nią, jako środkiem płatniczym? Bezwątpienia, zaufanie jest doniosłym współczynnikiem w kształtowaniu się bilansu płatniczego. Wywiera duży, choć mało uchwytny wpływ na popyt i podaż marki. Przyłączenie do Polski części G. Śląska zwiększyło zaufanie do nas. Powstrzymało szereg ludzi od sprzedaży polskiej marki. Innych zachęciło do jej kupna. Cała rzecz w tem, żeby utrwalić korzystne nastroje. Dalsza nadmierna emisja zachwieje zaufaniem. Obniży kurs naszej marki. Zaufanie w ostatnim rzędzie zależy od ilości pieniędzy, puszczanych w obieg.

(C. d. n.) **Prof. Adam Krzyżanowski.**

WALKA O REKRUTA POLSKIEGO POD OKUPACJĄ.

Teorja „wojny integralnej", wojny wyczerpania—wraz z całą matematyką wojenną nie stanowi myśli przewodniej książki dr. Dąbrowskiego, choć wypełnia niemal całą jej treść. Myśl przewodnia zaznaczona jest w tytule.

Ponieważ matematyka wojenna wskazywała, że Niemcy muszą wojnę przegrać w chwili całkowitego wyczerpania swoich rezerw, ponieważ zanim to wyczerpanie nastąpi, gdy względny brak rezerw zacznie im się dawać we znaki, czynić będą wszelkie wysiłki dla zdobycia uzupełnień z innego źródła—przeto niechybnie sięgną do rezerwuaru Królestwa Polskiego, by pod rozmaitemi pozorami stamtąd wydobyć nowego rekruta. Wedle obliczeń dr. Dąbrowskiego, pierwszy moment krytyczny miał nastąpić latem w 1916 r., a jednym z jego pośrednich znaków miało być przystąpienie Rumunji do akcji wojennej. Rumunja bowiem — czując swą słabość — pochwyci moment, w którym ujrzy możliwość udziału w zwycięstwie bez ponoszenia ryzyka wojny. Daty zgadzały się doskonale. Latem w 1916 r. Rumunja wypowiedziała wojnę; między Austrją a Niemcami stanął układ w Pszczynie o proklamowanie niepodległej Polski, zawarty w porozumieniu z niemiecką Kwaterą główną, której chodziło jedynie i wyłącznie o powołanie do życia armji polskiej, jako niezbędnego sukursu dla topniejących sił bojowych mocarstw centralnych.

Wszystkie powojenne rewelacje i pamiętnikarskie wyznania stwierdzają ten przyczynowy związek faktów.

Tutaj oświadczyć należy, że nie stanowi on żadnego nowego odkrycia; był on już w 1916 roku tajemnicą poliszynela dla polskiego ogółu, z aktywistami włącznie, jakkolwiek nie każdy posiadał tak dokładne obliczenia, jak dr. Dąbrowski, i nie każdy miał tak ślepą wiarę w nieomylność wyroków matematyki dla przebiegu i wyniku wojny.

Nie było w Polsce nikogo, ktoby się łudził, że Niemcy dla idei wskrzeszenia Polski walkę wszczęli i prowadzą, że przez szczere sympatje dla polskiego narodu proklamują jego wolność. To też nie na sentymencie i dobrej woli mocarstw, lecz na konieczności dziejowej opierali swój program polityczny ci, których aktywistami nazywano. Tę konieczność przewidzieli oni znacznie wcześniej, niż dr. Dąbrowski, i bez danych, które on dopiero w ciągu wojny mógł zebrać. Mówili o niej przed wojną; w niej widzieli punkt oparcia dla swej polityki, a jej dźwignią miało być wojsko polskie, wychodowane z drobnego zawiązku organizacji wojskowych, z których wzięły początek Legjony Polskie. Wszystkie porozbiorowe doświadczenia wskazywały im 1-o, że rozbrojenie narodu jest jednoznaczne z pogrzebaniem jego niezawisłości (r. 1794 i 1831); 2-o że niepodobieństwem jest dla bezbronnego narodu uzbroić się o własnych tylko siłach (st. 63); 3-o że to zadanie niemożliwe staje się łatwem, o ile jakiekolwiek mocarstwo ma interes w uzbrojeniu podbitego i bezwładnego narodu (Legjony Dąbrowskiego i Ks. Warszawskie). Wiadomo, że generał Bonaparte, później Cesarz Francuzów, również potrzebował rekruta i dlatego tylko przyjmował propozycję generała Dąbrowskiego.

Przed wojną była Polska tak bezbronna, jak żaden może ujarzmiony naród na świecie. Wojna otwierała możliwość uzbrojenia się — ale trzeba było czyhać na okazję i wlot ją pochwycić. Z tego punktu widzenia kłopoty mocarstw centralnych o niedobór sił ludzkich były i dla aktywistów pożądanym symptomatem, choć wręcz odmienne wyciągali stąd wskazania. Różnica nie tkwiła tedy w ocenie sytuacji lecz w jej praktycznych konsekwencjach; nie w pytaniu: „co się stanie?“ lecz w pytaniu: „co robić?“. Na to ostatnie pytanie dr. Dąbrowski ma odpowiedź jasną i stanowczą, sformułowaną —jak oświadcza—już w pierwszym okresie wojny: „Ściśle obliczać i cierpliwie czekać“. Czekać, aż Niemcy i Austrja skutkiem nieuchronnego wyczerpania rezerw zostaną całkowicie pobite i zmiażdżone.

Przypuśćmy, że ten „plan wojenny“ został od samego początku jednomyślnie przyjęty przez cały naród, że Polska rachuje i czeka, niewzruszenie odpiera wszelkie pokusy militarno-niepodległościowe i w tym stanie trwa aż do listopada 1918 roku. Zachodzi pytanie, czego byłaby się doczekała?

Wojny o Polskę nie wszczynał i nie prowadził nikt — tak jak nikt nie wszczynał i nie prowadził wojny o niepodległość Finlandji, Irlandji czy Egiptu. Gdy koalicja mówiła o wyzwoleniu „małych narodów“, jasną było rzeczą, że ma na myśli tylko te, które jęczą pod uciskiem niemieckim, austryjackim i tureckim. Co do tego nikt nie łudził Polaków ani w czasie wojny, ani po wojnie. Nasi obecni sprzymierzeńcy, Francuzi (niejednokrotnie wyrażający zdziwienie, dlaczego nie korzystaliśmy ze sposobności tworzenia armji za akupacji amb. Noulens, Barthélémy) oświadczają otwarcie — co zresztą było powszechnie wiadome—że, póki istniała carska Rosja, nic nie mogli dla Polski uczynić, gdyż wiązał ich sojusz, a Francja nigdy nie sprzeniewierzyła się swym sojusznikom.

O niepodległości nie byłoby mowy po zwycięstwie dokonanem, jak nie mówiono o niej przed zamierzonem. „Wojna integralna“, wojna wyczerpania zaczęła się na wschodnim froncie dopiero po odparciu ofensywy rosyjskiej, ściślej mówiąc, po wyparciu Rosjan z Polski. Wtedy też dopiero mógł wchodzić w grę rezerwuar sił Królestwa Polskiego, ów miljon rekruta dla armji polskiej, — przedmiot pożądliwości mocarstw centralnych. Narazie rozporządzały mocarstwa centralne — (wedle obliczeń dr. Dąbrowskiego) blisko 1½ miljonem polskich rekrutów wcielonych do szeregów lub pozostających do rozporządzenia, podczas gdy w wojsku rosyjskiem było ich tylko pół miljona, bądź to skutkiem łatwości uchylania się od poboru, bądź też z powodu wczesnej okupacji części Królestwa i niemożności przeprowadzenia mobilizacji. I tę liczbę jednak należałoby zapewne zredukować. Znaczna część mężczyzn z Królestwa w wieku poborowym znalazła się w chwili wybuchu wojny poza granicami kraju w charakterze robotników sezonowych, których liczba corocznie w letniej porze wahała się od 200 do 300,000. W chwili wycofania się Rosjan za Bug i Niemen już znowu znaczna część wciągniętych do szeregów znalazła się po tej stronie frontu, wchodząc w skład tych nieprzejrzanych kolumn jeńców, jakie Niemcy zagarnęli. Zarówno jeńcy jak robotnicy sezonowi, których jako

jeńców cywilnych zatrzymano na cały czas wojny, stanowili dla mocarstw centralnych bardzo pożądaną i użyteczną rezerwę rąk roboczych, która pozwalała im zmobilizować znacznie więcej własnych rekrutów, niżby to było możliwe, gdyby mieli własnemi siłami utrzymać w biegu produkcję rolną i przemysłową, niezbędną dla wojny. Użycie tej siły było o tyle dogodniejsze, niż werbowanie ochotników, że nie mogło pociągać za sobą żadnych politycznych zobowiązań, nie mogło być krzyżowane i hamowane przez jakiekolwiek polskie czy nie polskie czynniki polityczne. Niemniej pozostawał jeszcze ów miljon mężczyzn zdolnych do boju, który warto było pociągnąć, gdy wojna się przedłużała, a przeciwników przybywało. Doświadczenia zebrane z walk Legjonów-Polskich świadczyły, jaką może mieć wartość ten materjał bojowy, gdy walczy z własnej woli, przeciw własnemu wrogowi, pod własną komendą i o własną sprawę. Polak jest wogóle dobrym żołnierzem; stwierdzono to nawet w szeregach armji zaborczych. Ochotnicze wojsko zawsze bije się dobrze, co jest rzeczą zrozumiałą. Było również rzeczą wiadomą,—że jedynie do walki o niepodległość można ochotnicze wojsko polskie powoływać. Ponieważ za mniejszą cenę i pod innem hasłem wojska polskiego nie można było tworzyć — przeto zdecydowano się na akt 5-go listopada.

Był on niewątpliwie wynikiem akcji Legjonów, oraz tej istotnie niebywałej reklamy, jaką otoczono ową garstkę walczących ochotników. Reklama ta była więc wręcz obowiązkiem obywatelskim. Chodziło przecież o to, by każdą kroplę krwi przelanej spożytkować dla przypominania światu, że Polska istnieje, że ma swe własne cele wojenne, które nie mieszczą się bez reszty w planach wojennych jednego ani drugiego obozu walczącego.

Nie należysobie bowiem bynajmniej wyobrażać, aby konieczność dziejowa, która Niemcy do poruszenia sprawy polskiej skłoniła, była tak fatalistyczną, że we wszelkich warunkach musiała ich pchnąć do tego kroku. Mieli oni zawsze jeszcze inne wyjście — równie zabójcze dla nas, jak dla koalicji: — odrębny pokój z Rosją.

Proklamacja 5-go listopada na razie je usuwała; zbudowanie armji polskiej byłoby mogło je zażegnać w danej chwili. Wypadki z pierwszych miesięcy 1918 r. dostarczają na to dowodów. Jeżeli na wieść o traktacie brzeskim nieliczny korpus Hallera reagował doraźnie zbrojnym buntem, walką pod Rarańczą z Austryjakami, pod Kaniowem z Niemcami, jakżeby się zachowała — już nie miljonowa, ale choćby 200000 tysiączna armja polska, gdyby chytry wróg w skórze sprzymierzeńca chciał cofnąć swoje polityczne zobowiązania? Gdyby taka armja w 1918 r. istniała, nie mogłoby nastąpić rozbrojenie korpusu Dowbora Muśnickiego i nie mogłyby się dokonać tak straszne rzezie Polaków w całym przyfrontowym pasie wschodnim po wybuchu anarchji bolszewickiej. Korpus Hallera, sformowany dla walki z Rosją—musiał stoczyć bój z Austryjakami i z Niemcami. Korpus Dowbora — sformowamy do walki z Niemcami, cały czas walczył z bolszewikami, t.j. Rosjanami. Iwdecydującym momencie nic nie byłoby tym obu wojskom polskim przeszkodziło zjednoczyć się dla wspólnej sprawy, gdyby nie to, że były to bezsilne garstki straceńców, rozrzucone na ogromnej przestrzeni.

Im głębsze było przekonanie o nieszczerości mocarstw proklamujących naszą niepodległość, tem bardziej zależało na wytworzeniu siły, która je mogła do lojalności zmusić lub za nielojalność ukarać. Dla zachodnich mocarstw Ententy taki obrót sprawy byłby znacznie korzystniejszym, niż bierny opór, który czynił z Polski bezsilny teren eksploatacji i pole otwarte do wszelkich eksperymentów, wolną drogę do Rosji i Ukrainy po wszystkie skarby i zasoby, do których dziś z takim trudem i wysiłkiem Europa dobierać się usiłuje.

Rezerwuar materjału ludzkiego w Królestwie Polskiem nie stał się również bezużytecznym dla Niemców przez to, że Polska wojska nie wystawiła. Ogładzając kraj i rujnując jego przemysł, okupanci mnożyli liczbę bezrobotnych, których ani myśleli przecież utrzymywać swoim kosztem. Werbowali ich na roboty do Prus — a temu żadne polskie partje polityczne przeszkodzić nie mogły, bo i one nie mogły sobie pozwalać na zbytek żywienia bezrobotnych. To też w ostatnim okresie wojny fabryki amunicji w Niemczech posługiwały się obok kobiet wyłącznie Polakami z Królestwa.

Jedyny poważny zarzut, który możnaby tu postawić, obala całkowicie sam autor książki: „Walka rekruta polskiego pod okupacją“.

Gdyby istnienie armji polskiej na wschodnim froncie mogło dopomódz Niemcom do zwycięstwa na zachodnim i utorować im drogę do panowania nad światem, to zachodnie państwa Ententy mogłyby by nas obwiniać o sprowadzenie na nie klęski. Ale autor zapewnia uroczyście, że nawet miljonowa armja polska nie mogła odwrócić pogromu mocarstw centralnych, co najwyżej o kilka miesięcy odroczyć. Z tej racji mówi, że byłby to środek „bezskuteczny“, przesądzając bezpodstawnie, że zamierzonym „skutkiem“ miało być ratowanie Niemiec. Otóż nikt z Polaków, pragnących zbrojenia Polski, nie sądził, by w przeciwieństwie do wszystkich narodów świata miała ona walczyć o cudzy, nie o własny interes narodowy. „Skutek“, o który chodziło, nie tkwił w tem, jak się wojna skończy, lecz jak Polska okres wojenny wyzyska dla swego wyzwolenia. Czekać cierpliwie, kto zwycięży, a potem „courir vaillament au secours du vainqueur“ — (jak mawiali Francuzi o neutralnych), to nie jest polityka, którąby mogła przynosić trofea. Niedość silni, by wywrzeć wpływ na przebieg i wynik tak olbrzymiego przełomu, jak wojna światowa, mogliśmy co najwyżej rozwiązać jedno dla nas samych decydujące pytanie: Czy fala przejdzie po nas i nas zaleje, czy na niej wypłyniemy? — I wypłynęliśmy.

Przypomnijmy sobie, jak to było. — Najprzód ani słowa nigdzie o Polsce; ciszę mąci tylko „niebywała reklama“ czyniona Legjonom. Klęski Rosji; Polska przestaje być jej sprawą wewnętrzną, gdy Polska na zewnątrz jej leży. Niemcy potrzebują rezerw: — akt 5-go listopada. Orędzie Wilsona — punkt 13-y

mówi o wolnej, zjednoczonej z dostępem do morza. Przewrót w Rosji — rząd rewolucyjny uznaje prawa Polski do niepodległości. Tworzą się oddziały polskie w Rosji i Francji. Rewolucja bolszewicka, traktat Brzeski, tworzenie niepodległej Litwy i Ukrainy pod patronatem Niemców. Nota koalicji uznaje niepodległość Polski. — Klęska Niemiec i traktat wersalski.

Nikt ani w Polsce, ani poza Polską nie przewidywał w 1914 roku, by mogły upaść w wojnie wszystkie trzy potęgi rozbiorowe — choć każdy w Polsce o tem marzył—o ile sobie na marzenia pozwalał. Czy jednak ten wynik wojny już sam przez się byłby w każdym wypadku starczył dla obalenia niewoli i rozbiorów? Rok 1920-ty musiał nas uleczyć z tego złudzenia. Zwyciężone Niemcy i zrujnowana Rosja już miały przywrócić dawną granicę i dawne tradycje sąsiedzkie, a nikt nie byłby temu zdołał przeszkodzić, gdyby nie wojsko polskie. Tak bywało zawsze i tak będzie na przyszłość.

I. Moszczeńska.

O CENTRUM PAŃSTWOWOTWÓRCZE

Czy mamy tworzyć jeszcze jedną partję, t. zw. „Centrum Narodowe i Państwowotwórcze“?

Niedawno na ten temat otworzył dyskusję „Głos inteligencji“.

— Jeszcze jedna partja, zawoła czytelnik.— Czy nie dość mamy partji i partyjek w naszym Sejmie Suwerennym? Zapewne ale wszystkie te partje, rozpatrując zagadnienia narodowe i państwowe w przekroju klasowym, nie potrafią ująć ich syntetycznie i wznosząc gmach polskiej państwowości, zamiast dostosować rozmiary do potrzeb i aspiracji wielkiego narodu, jakim, niewątpliwie, powinniśmy być, starają się umieścić go na swem ciasnem podwórku partyjnem, czego najjaskrawszym dowodem była ostatnio sprawa Wileńska.

Stąd również pochodzi ta zygzakowatość naszej polityki zarówno wewnętrznej, jak i zewnętrznej, bo inaczej i być nie może, gdzie niema silnego stronnictwa, myślącego kategorjami państwowemi.

W tych warunkach nie może być mowy o stworzeniu silnego rządu parlamentarnego, bo nie może on przecie oprzeć się na rozbieżnych dążnościach poszczególnych ugrupowań; zmuszeni więc jesteśmy zadawalniać się rządem parlamentarnym, który, nie będąc pewnym ani dnia, ani godziny, podąża od wypadku do wypadku.

Prawda, znamy przecie państwa, nawet wysoce rozwinięte i mocno demokratyczne, które również nie znają rządów parlamentarnych, ale władza wykonawcza w tych krajach ma wszelkie rękojmie trwałości, jak, naprzykład: w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. gdzie jest skupioną przy osobie obdarzonego przez samą konstytucję pełnią władzy prezydenta.

Jakże inaczej jest u nas, gdzie głowa państwa jest raczej symbolem.

Nie chcąc wchodzić na manowce zamachów stanu lub rewolucyjnych konspiracji, społeczeństwo samo powinno wytworzyć kręgosłup dla swej państwowości i myśl rzucona przez „Głos Inteligencji“ trafnie ujmuje tę sprawę.

Nie dość jednak powołać do życia jakąś organizację, trzeba, stwarzając, zapewnić warunek jej trwałości. Oczywiście, im więcej będzie ona miała punktów stycznych ze społeczeństwem i jego aspiracjami, tem trwalszym będzie jej byt.

We wszystkich klasach społecznych spotykamy dwa typy ludzi: jednolite duchowo, natury proste i nieskomplikowane i te doskonale mieszczą się w ramkach klasowych — oraz organizacje złożone, szukające raczej jakiejś syntezy i które poprzez rozróżniczkowanie klasowe dążą do skoordynowania tych interesów z caokształtem potrzeb narodowych i społecznych. U tych ostatnich organizacja, ujmująca zagadnienia państwowe przedewszystkiem, znajdzie mocne poparcie. Zwłaszcza inteligencja, która przez swą kulturę pozbyła się już prostolinijności myślenia, stanie się niewątpliwie, ośrodkiem tej organizacji, zapładniając swym duchem, sama zaś znajdzie w niej teren do zaspokojenia swej żądzy czynu i rozkoszy tworzenia. W ciągłej zaś dążności do ekspansji swego ducha, swych wierzeń i ideałów, będzie zabiegała o rozszerzenie swych wpływów nie tylko wewnątrz kraju, lecz hen i po za jego granice. Tu jej drogi zbiegną się z drogami polskiego przemysłu, który w swem dążeniu do wzmocnienia się i rozszerzenia podstaw swego rozwoju, będzie również szukał dróg ekspansji, starając się pociągnąć za sobą i samo państwo.

Przed Polską stanie wówczas w całej rozciągłości dylemat czy pójść drogą zachłannego imperjalizmu i stać się zarzewiem ciągłych walk, czy też stać się czynnikiem postępu i kultury, wiążąc się w unje i związki państwowe. W tym momencie zaważy na szali stanowisko inteligencji, i polska inteligencja która w ciężkich chwilach zmagań się o samo istnienie narodu potrafiła skojarzyć swe hasła wyzwoleńcze z takiemi hasłami innych narodów pozostanie wierną swym ideałom, nawiązując nić najlepszych tradycji naszej historji.

Pogłębienie i rozszerzenie układu politycznego z państwami bałtyckiemi, tak szczęśliwie przez p. Skirmuntta pomyślanego, może wbrew jego własnym ideologicznym przesłankom, zmuszonego jednak do tego kroku przez logikę dziejów, było by jednem z bliższych zadań naszej polityki. Celem tych wysiłków winien być państwowy Związek Bałtycki, który będąc dla rozhukanych fal wschodniich. Do tak utworzonego Związku niebawem przystąpi i Litwa, bo wreszcie będzie musiała rozwiązać dylemat: czy pozostać biernem narzędziem w ręku możnego sąsiada, czy stać się równoprawnym członkiem silnego związku; wybór drogi ułatwi i pokrewieństwo rasowe i podobna struktura socjalna i ekonomiczna wszystkich 3-ch państewek.

W ścisłym związku z tem zagadnieniem znaj-

duje się wewnętrzna już nasza polityka kresowa, bo Polska zachłanna i nacjonalistyczna może tylko w małych państewkach sąsiednich budzić uzasadnione obawy, tolerancyjna zaś i liberalna, zjedna ich sympatje.

Traktat Ryski bojaźliwie wysunął i sprawę białoruską i ukraińską, lecz nie załatwiwszy żadnej, tylko je zabagnił, bo w sprawach tych może być tylko dwojakie rozwiazanie: albo bezwzględne tępienie powstającego ruchu narodowego, albo godząc się z nim, znaleźć ujście dla niego. Niestety, Polska na kresach swych wschodnich, słusznie odrzuciwszy dawne rosyjskie i pruskie metody eksterminacyjne, zatrzymała sie jednak wpółdrogi, czepiając półśrodków, jak to nieraz w swej historji czyniła z dużą dla siebie szkodą. Prawda, różnią nas z obywatelami kresowymi innej narodowości stare przesądy, nietakt miejscowej władzy politycznej oraz niezawsze lojalne zachowywanie się względem państwowości polskiej, przedstawicieli tych mniejszości narodowych. Pomimo wszystko jednak musimy wreszcie zdecydować się, jaką mamy obrać drogę postępowania i ponieważ nie możemy wzorem moskiewskim wynarodowić lub wywłaszczyć metodą pruską, musimy dać im warunki rozwoju w ramach polskiej państwowości.

Szeroki samorząd lokalny da możność pielęgnowania właściwości rodzimej kultury, przez organizację własnego szkolnictwa, zaś przez budowę dróg, tworzenie zakładów o charakterze gospodarczym i ekonomicznym przyczyni się do rozwoju ekonomicznego kraju ojczystego.

Gdy mówimy o samorządzie, musimy odpowiedzieć na pytanie, jak ma być Polska rządzona: centralistycznie, czy decentralistycznie, to jest, czy ośrodek ciężkości ma spoczywać we władzy centralnej, czy w miejscowych samorządach. Opowiadając się z całym naciskiem za silną władzą centralną, jednak winniśmy zdać sobie sprawę, że sprężystość aparatu administracyjnego tylko zyska na odciążeniu odeń spraw, które czynniki obeznane z miejscowemi potrzebami dużo lepiej załatwiają.

Możemy zrozumieć i wyrozumieć dzisiejszą dążność do zniwelowania różnic dzielnicowych, które narzuciły nam obce zabory, ale musimy liczyć się z odmienną psychiką, którą urobiły różne warunki prawne i odmienny układ gospodarczy w każdej z dzielnic. Jeśli dorzucimy na szalę różnolitość narodowościową, to zrozumiemy, że szablon, narzucony z centrum, będzie jakobinizmem. I jeśli Francja zwycięsko przetrzymała te próby hazardowne jakobinów, to my bez granic osłoniętych, z silnemi dążnościami odśrodkowemi mniejszości narodowych, musimy do różnolitych warunków kraju przystosować i formy rządzenia, wprzęgając do służby Rzeczypospolitej przez prace w samorządach inne narodowości. I im gęstsza będzie sieć samorządowa, tem łatwiej państwowość porwie w swoje łożysko społeczeństwo, bo samorządy, kształcąc ducha publicznego, zaprawiają obywateli do służby państwu. Winne więc zorganizowane już samorządy otrzymać prawo przedstawicielstwa w ciałach prawodawczych, stwarzając w ten sposób zbawienną przeciwwagę grup kulturalnie i gospodarczo zorganizowanych, dzisiejszym ugrupowaniom wyborczym, skupionym doraźnie przy hasłach, które nie łączą lecz dzielą.

Coprawda, i dawna Rzeczpospolita znała i sejmiki powiatowe i sejmiki wojewódzkie, a jednak nie uchroniło to jej od zguby. Pomijając inne przyczyny natury raczej zewnętrznej, winna temu była struktura społeczna Państwa Polskiego, mianowicie hypertrofja szlachetczyzny kosztem innych stanów, zwłaszcza mieszczaństwa, które w owym czasie na Zachodzie było tak silne, iż sięgnęło po władzę i, ująwszy ją w swe ręce, wyprowadziło Europę na szlaki postępu i demokracji.

Szlachta polska po uporczywej walce z władzą królewską w dobie Jagiellońskiej, zagarnąwszy władzę, nie przygotowana do tej roli, wskutek ignorancji tłumu szlacheckiego, ugrzęzła w kwietyzmie i ze snu tego zbudził ją łoskot walącego się gmachu państwowego.

Mutatis mutandis przeżywamy i dziś podobną sytuację i o ile nie zdołamy Polski wyprowadzić na drogi nowoczesnego rozwoju przez stworzenie przeciwwagi zbyt jednostronnym interesom wsi, rozwiązującej zagadnienia państwowe na miarę swego zaścianka.

Miasta więc polskie powinny, pomimo swe zróżniczkowania społeczne, poprzeć wysiłki nowej organizacji politycznej, zmierzającej ku uprzemysłowieniu kraju przez popieranie inicjatywy zarówno prywatnej, jak i społecznej, z jednej strony, przez zwolnienie produkcji z hamujących jej rozwój pęt biurokratycznych—z drugiej. Z przemysłowym bowiem rozwojem Polski ściśle związany jest rozkwit jej miast i mieszkańców ich bez względu na warstwy, do których należą, bo w ustroju demokratycznym dobrobyt już nie jest li tylko udziałem uprzywilejowanych.

Aby tem silniej podkreślić znaczenie miast dla normalnego rozwoju Polski, partja, która chce byt jej oprzeć na mocnych podstawach, powinna żądać takiego podziału okręgów wyborczych, któryby zapewnił miastom wpływ, odpowiedni ich gatunkowej wadze i nie pozwolił utonąć im w morzu otaczającej ludności wiejskiej.

Snując powyższe rozważania, nie kusiłem się o zbudowanie całkowitego programu polityczno-społecznego, bo byłoby to dziś zwłaszcza, w okresie przewartościowywania pojęć, naiwnością polityczną; próbowałem tylko najważniejsze zagadnienia wysunąć, od takiego lub innego rozwiązania których zależy może nie tylko sam rozwój, ale i byt Polski, jako państwa.

Rzeczą dalszej dyskusji wyjaśnić, czy rozwiązanie tu podane istotnie jest trafnem, najlepszym zaś sprawdzianem będzie samo życie.

Konstanty Gordziałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

MALARZ WOJSKA POLSKIEGO.

(Z powodu wystawy jubileuszowej J. Rosena).

Niema złej sztuki, są tylko dobrzy i źli artyści. Każda teorja ma bowiem swe uzasadnienie i rację istnienia, o ile wprzęgnie do swego rydwanu ludzi obdarzonych talentem.

Lat temu 30 sztuka Jana Rosena wydawała się absurdem, urągającym wszelkim pojęciom koloru i słońca, a mimo tego przetrwała próbę ognia i weszła do historji polskiej kultury jako cenny nabytek. Winą bowiem było Jana Rosena, winą nieprzebaczoną przez żadnego impresjonistę, że w chwili, gdy wrażliwość na błyskawiczne zmiany koloru i światła decydowała o sprawności malarskiej, śmiał otoczyć się muzealnemi zbiorami i z zaciekłością archeologa odtwarzać mundur i wojsko polskie.

Jan Rosen urodził się w r. 1854, to jest u schyłku romantyzmu, który zamierając ostatecznie, wydobył z siebie jeszcze potężny strumień uczucia, porywając się na na najszlachetniejsze zuchwalstwo w r. 1863.

To ostatnie tchnienie umierającej epoki zakaziło duszę artysty, który całe życie został wierny marzeniu o szabli i koniu.

I właśnie teraz, w tych czasach, gdy siłą nieodgadnionych przeznaczeń marzenie pokoleń stało się rzeczywistością, dziwnie drogim wydaje się sen o żołnierzu polskim i o bohaterstwie pradziadów — sztuka bowiem tych czasów była nie tylko udzielną księżną z Parnasu, ale nauczycielką i krzepicielką serc, wychowawczynią i buntownicą.

Jan Rosen kształcił się w Monachjum i w Paryżu. Nawyknienia życiowe ciągnęły go raczej do stolicy Bawarji, niż nad Sekwanę, artystycznie jednak zawdzięcza malarz polski więcej Paryżowi, niż Niemcom.

Malarstwo francuskie owego czasu, gdy zjawił się J. Rosen w Paryżu, żyło urokiem sztuki Meissoniera i młodo zmarłego de Neuville'a, a chociaż odzywały się już pomruki blizkiej rewolucji artystycznej, przygotowywanej przez Maneta i Moneta, to jednak „wygnańcy z Salonu" nie byli jeszcze ani wpływową, ani dość popularną konfraternią, by przyciągnąć do siebie cudzoziemca dobrze już zaawansowanego w rzemiośle artystycznym i w dodatku obciążonego tradycją Juljusza Kosaka i Grottgera.

Przyjazd Rosena do Paryża i studja jego w Academie des Beaux Arts" u profesora Gerome'a zbiegają się z popularnością de Neuvilla, który przegraną wojnę r. 1871 umiał okrasić takim bohaterstwem żołnierza francuskiego, iż słusznie obrazy jego uchodzić mogą za najświetniejszą apoteozę armji francuskiej. „Odmarsz batalјonu", „Napad o świcie", „Stój", „Jazda do lazaretu" i cały szereg podobnie frapujących tematami obrazów de Neuville'a, były dla polskiego malarza lepszą szkołą, niż liberalny kierunek w monachijskiej akademji pod kierownictwem Kaulbacha lub zgoła nawet skrzętnie zapełniane Pinakoteki.

Podobnie jak francuscy bataliści opiewali chwałę galickiego oręża, tak Rosen zajął się mundurem i żołnierzem polskim.

Nieliczne odstępstwa od tego tematu, jak portrety, karykatury, ilustracje „Emira" Rzewuskiego i Gawalewicza „Majster do wszystkiego", uważane być muszą jako niewinne sprzeniewierzenie się stałej miłości.

W roku 1877 wystąpił Jan Rosen w Salonie paryskim z obrazem „Fragment z pamiętników Paska" i od tej chwili wszedł na arenę publiczną.

Ideałem malarzy tego czasu, w którym J. Rosen dochodzi do słowa, był obraz kompozycyjny. „Wszystko dla kompozycji" oto ideja która żyła w każdej pracowni i opromieniała każdy mózg artystyczny. Wiadomo, jak pojmował Meissonier swe powołanie batalisty, z jaką ścisłością tworzył de Neuville i cała plejada współczesnych mu artystów i naśladowców mundur żołnierza francuskiego. Szkoła krakowska, na której czele stał Jan Matejko, za jeden z najkardynalniejszych swych obowiązków uważała historyczna autentyczność i podobnie, jak cała współczesna sztuka europejska, uważała obraz kompozycyjny za koronę wysiłku twórczego.

Jan Rosen nie wyłamywał się z praw powszechnie panujących w ówczesnem malarstwie i podobnie, jak i jego rówieśnicy, przygotowywał się do dzieł kompozycyjnych.

Studjował więc, przerysowywał, badał przeszłość, zbierał mundury i broń, a dla sprawdzenia autentyczności wyszukiwał dawnych żołnierzy i zasięgał ich opinji.

Taka metoda pracy zmuszała do tworzenia niezliczonej wielości szkiców, fragmentów, studjów, które rozbiegały się nietylko po Polsce, ale częściej grzęzły w zbiorach zagranicznych.

Jako synteza tych studjów powstawał dopiero obraz. W stosunku więc do liczebności drobiazgów artystycznych, stanowiących częstokroć znacznie poważniejszy dorobek malarski, niż kompozycje — niewiele jest obrazów Jana Rosena.

Z pośród najważniejszych na szczególną uwagę zasługuje „Pobudka", „Błogosławieństwo oddziału" (w muzeum narodowem w Krakowie), „Przegląd jazdy na placu Saskim" (zakupiony przez Aleksandra III do cesarskich zbiorów „Jenerał w podróży", „Bitwa pod Stoczkiem", (w muzeum w Rapperswylu), „Napoleon w Smorgoni", „Sommosierra", „Jenerał Dwernicki", „Jenerał Dąbrowski", „Berezyna", „Pod eskortą".

Te najbardziej charakterystyczne dla twórczości J. Rosena obrazy, miały nietylko znaczenie dzieła artystycznego, które zdobywało malarzowi osobną i szczególnie cenną kartę w dziejach polskiej sztuki, ale w znacznie większym jeszcze stopniu spełniały te obrazy rolę nauczycielską i społeczną, stawiając przed oczy widziadło dawnej świetności i bohaterstwa.

W porównaniu z temi zasługami giną nawet te zarzuty, któremi obarczał St. Witkiewicz sztukę Rosena, a zgoła zacierają się wady zbytniej sztywności, teatralnego patosu, salonowej układności munduru, konia i człowieka. Podobnemi winami obarczano również Matejkę, Grottgera, nie był od nich wolny i Juljusz Kossak, Chełmoński, Brandt i Gierymscy. Krytyka, kapryśna pani, opiera niejednokrotnie rację swych grymasów na wyszukiwaniu dziur na całem. Tak zawsze bywało i będzie, jak długo „furor a nie amor criticus“ dotknie sie dzieła sztuki.

Choć Brandt i Chełmoński byli „brutalami“, a Rosen „ugłaskanym salonowcem“—to jednak w najmniejszym stopniu nie umniejszają te sądy ich wartości artystycznej.

I może właśnie, dzięki tej staranności, którą odznaczała się sztuka J. Rosena, był polski artysta szczególnie poszukiwanym na petersburskim dworze, w tym samym niemal czasie, gdy W. Kossak malował Wilhelmowi II-mu ułanów a Pochwalski utrwalał podobizny Habsburgów.

W Rosji pozostała lwia część jego twórczości — jakby ku ironji dziejów, że siła polskiego ducha była wieksza, niż brutalna chęć zniszczenia polskiej kultury.

W.

KRONIKA LITERACKA
I ARTYSTYCZNA.

Homer. ILIADA, w przekładzie **Franciszka Dmochowskiego.** Zrewidował, wstępem i komentarzem opatrzył **Tadeusz Sinko,** prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków. „Bibljoteka narodowa“ Nr. 17. Serja II. Nakł. Krak. Spółki Wydawniczej.—Pierwszy polski przekład Iljady, dokonany od 1791 do 1801 przez Fr. Ksawerego Dmochowskiego, pozostaje dotychczas najprzedniejszym. Zapomniano już o dziwactwach tłomaczeń Staszica i Przybylskiego, a próby heksametru polskiego w przekładach Popiela, Szmurły i Mleczki nie zdołały zjednać sobie czytelników. Były nużące, chłodne i bezbarwne. W ostatnich czasach wrócił do tradycji Dmochowskiego p. Jan Czubek, który w roku zeszłym ogłosił rymowany przekład „Iljady“. Chociaż Kazimierz Morawski w swym wstępie do tego przekładu zapewnia, że „poeci w pierwszym rzędzie powołani są do tego aby przyswajać literaturze arcydzieła poezji obcej“, nie możemy stwierdzić, ażeby p. Czubek istotnie ujawnił jakieś wybitne zalety poetyckie w swej pracy. Sama umiejątność nie wystarcza, a jędrnoś wyrażeń, zapożyczona z gwary ludowej, często jest sztuczna. Przekład Dmowskiego nie przestaje być zabytkiem bardzo szacownym i nie tylko dla tego; że kształcili się na nim najwybitniejsi nasi poeci romantyczni. Morawski zauważa, że w przekładzie tym „Homer wyszedł zanadto wykwintny, czasem mroźny, a czasem nieco zretoryzowany“. Pomimo to, daje on jeszcze najlepszą transpozycją całego oryginału z pośród tych, jakie posiadamy. Dobrze więc uczyniła redakcja „Bibljoteki Narodowej“ włączając ten przekład do swych cennych wydawnictw. Opracowania przedmiotu podjął się jeden z najlepszych naszych filologów, prof. T. Sinko, uczony wielkiej wiedzy i fenomenalnej pamięci. P. Sinko nie daje przekładu Dmochowskego w całości. Opuścił „ustępy i wiersze, które z rozmaitych powodów krytyka uznała za późniejsze wtręty lub które zawierają jedynie tuziny nazwisk zabitych osób, obojętnych dla akcji“. Taka redukcja nie wydaje nam się uzasadnioną, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że ogólna liczba opuszczeń wynosi **aż** 4980 wierszy t. j. niemal jedną trzecią całości. Było to może wygodne dla wydawców, ale jest zbyt samowolnem uszczupleniem tekstu, chociaż p. Sinko zapewnia, że „opuszczenia są tego rodzaju, że nigdzie nie przynoszą uszczerbku tokowi akcji“. Poza tokiem akcji istnieje jeszcze charakter utworu, dla którgo właśnie owe „tuziny nazwisk“ są bardzo znamienne. Oprócz skrótów dokonał jeszcze pan Sinko drobnej zmiany w samym tekście przekładu, a mianowicie shellenizował z powrotem wszystkie nazwiska bóstw greckich, które Dmochowski, zwyczajem współczesnych, latynizował uparcie (Zeus—Jowisz, Hera—Junona, Ares—Mars i t. d.).

P. Sinko przystąpił do pracy z olbrzymim bagażem wiedzy specjalnej. Obok obfitych wskazówek bibliograficznych i bogatego glossarjusza do tekstu dał obszerny wstęp, w którym podaje historję kultury jońskiej, kultury trojańskiej, kultury mykeńskiej, kultury Greków przed—mykeńskich, kultury homerowej, poczem analizuje poezje homerowe, tradycje o Homerze, epikę ludową, podania bohaterskie w Iljadzie, a w końcu rozważa kompozycję i pragmatykę Iljady, architektonikę epopei, artyzm Homera, najsławniejsze przekłady Iljady, przekłady polskie, przekład Dmochowskiego i jego wpływ na poetów polskich. Wstęp ten, uwzględniający wyniki współczesnych (zwłaszcza niemieckich) badań sprawy homerowej; stanowi sam przez się materjał na obszerne dzieło. Niestety, zwartość uwag prof. Sinki zaciemnia nieco sam wykład i czyni go niezawsze dostępnym dla młodzieży, która przecież z tłomaczenia tego korzystać powinna. Bądźcobądź wydanie **Iliady** Dmochowskiego stanowi jeden z najwybitniejszych wysiłków naszych filologów z ostatnich lat.

* Współpracownik naszego pisma p. Edward Woroniecki pomieścił w ostatnim (kwietniowym) zeszycie paryskiego miesięcznika „La Revue de l'Epoque“ artykuł o miesięcznikach i tygodnikach polskich pt. „Les revues litteraires en Pologne“.

Boy. Flirt z Melpomeną i inne flirciki. (Wieczór trzeci). Kraków 1922. Krakowska Spółka Wydawnicza. Znużony uciążliwą pracą przekładów dzieł i arcydzieł literatury francuskiej (około 100 tomów—do tej pory!), Boy od kilku lat prowadzi „flirt z Melpomeną“ tj. pisuje recensje teatralne w „Czasie“ krakowskim. Jest to odpoczynek dla niego, a radość dla czytelni-

ków, bo Boy jest nietylko jednym z najpracowitszych, ale i najdowcipniejszych ludzi w Polsce. W recenzjach swych jest doświadczonym, pełnym smaku krytykiem a przedewszystkiem utalentowanym pisarzem, który wytworność formy łączy a niespodziankami porónań, miłych metafor, wesołych dywersji. Boy jest pieszczochem zarówno kolegów, jak publiczności. Wie —ten, wie aż nadto, więc też z niezmiernym pietyzmem zbiera w książki każdy drobiazg, który ulotnie wyjdzie z pod jego pióra. „Trzeci wieczór flirtu z Melpomeną“ opatrzył Boy niepokojącą zapowiedzią, że to będzie flirt „ostatni“. Miejmy nadzieję, że zapowiedź ta... zawiedzie, bo Kraków musi mieć „recenzje Boy'a“, tak jak ma Michalika. Tymczasem pieszczoch krakowski do recenzji dodał nawet swe osobiste polemiki: z prof. Chrzanowskim, którego złapał na drobnych błędach z literatury francuskiej i z pr. Snko o przecinki. Uśmiechamy się zlekka gdy to czytamy, a już zgoła śmiejemy się szyderczo, gdy odczytujemy ponownie eposową opowieść o przygodach Boy'a w Paryżu, podczas uroczystości molierowskich. Tu już Boy wpadł w potrzask. Uważa za konieczne unieśmiertelnić fakt, o którym już nikt nie wątpi a mianowicie, że Boy jest świetnym tłomaczem, najdowcipniejszym i najniezasłużeńszym literatem polskim, który n i e u m i a ł dać sobie rady w Paryżu...

EUGENJUSZ MAŁACZEWSKI.

„Ginąć tak młodo! O, jakżem żądał
ciebie, Ojczyzno. wysławiać czule,
twe sławne dzieje, twe mężne Króle
i ludzi wielkich, tych, com oglądał“.

Temi słowami Klemensa Janickiego mógł pożegnać świat i Polskę młody poeta, którego zwłoki złożono na wieczny spoczynek w blaskach słońca wiosennego, w ubiegłą sobotę, w Zakopanem.

Jedyna książka, jaka po Małaczewskim dotychczas została, „Koń na wzgórzu“, zbyt niedawno była omawiana szeroko w całej prasie polskiej, by o niej pisać dziś szczegółowo. Z niewydanych jego prac, uzbiera się spory tom wierszy lirycznych o rozległej skali tematów — od świstu kul i symfonji armat zaczynając, a kończąc na przesubtelnych erotykach.

To, co nam wszystkim, ludziom pióra, pracującym w swoim czasie w literackiej propagandzie w tym, czy innym stopniu mogło grozić, czyli zmanierowanie się w kierunku pewnej *tendencji*, nie groziło w żadnej mierze Małaczewskiemu.

Dla niego—antybolszewizm był istotną wizją twórczą, z której niezależnie od wymagań politycznych chwili, *musiałyby* powstać jego nowelle.

Małaczewski zobaczył Polskę w całej okazałości ze swego długoletniego oddalenia właśnie przez pryzmat okrucieństw czrezwyczajki. Widział, jak dusza polska nie kurczy się, ale rośnie i potężnieje pod uderzeniami wschodnich katów.

To też najbardziej znamiennym dla talentu i fizjognomji literackiej Małaczewskiego jest utwór p. t. „Tam, gazie ostatnia świeci szubienica“.

Scena stracenia młodego peowiaka w obecności starszego brata stanowi jedno z najmocniejszych opowiadań w nowelistyce polskiej.

Język wzorowany na Sienkiewiczu i Żeromskim, ale przetopiony na ton własny; melancholja szczerze polska; humor iście żołnierski, — a pozatem całe morze najwyższego gatunku ideowości w ujęciu każdego zagadnienia, — oto znamiona najbardziej istotne twórczości Małaszewskiego.

Nienawidził bolszewizmu, wzdrygała się nań jego ludzka dusza, ale nie był to ciasny nacjonalista, któryby odrzncał ryczałtem wszystko, co idzie z bliskiego wschodu. Odtrącał wprawdzie Dostojewskiego, ale natomiast z wielkiem umiłowaniem przedmiotu zabrał się przed rokiem do tłomaczenia najnowszej liryki rosyjskiej.

Tadeusz Hiż.

JAMES JOYCE.

W ostatnim (kwietniowym) zeszycie miesięcznika paryskiego „La Nouvelle Revue Française“ znajdujemy wyborny odczyt Walerego Larbaud'a o **James'ie Joyce'ie** Odczyt ten podajemy poniżej w skróceniu:

Karjera pisarska Jamesa Joyce'a była dotąd niezwykle burzliwa. Ukazaniu się w druku każdej z trzech książek, które wyznaczyły mu miejsce wpośród najwybitniejszych przedstawicieli literatury Młodej Irlandji, towarzyszyły jednakowe komplikacje i trudności. Pomijając tom poematów na wzór liryków miłosnych doby elżbietańskiej (C h a m b r M u.s,i,c) i sztukę p. t. W y g n a ń c y, dobytek jego składa się ze zbioru nowel pt. D u b l i n e r s (Dublijczycy), z powieści w pewnej mierze autobiograficznej A p o r t r a i t o'f t h e a r t i s t a s a y o u n g m a n, wreszcie z rzeczy pod tytułem U l y s e s, która na długo już przed ukazaniem się budziła niezmierne zaciekawienie w sferach literackich, a która wyszła ostatnio w Paryżu, staraniem domu Shaekspeare and. C-o(-) . Nowele, które złożyły się na pierwszą z tych trzech książek, gotowe już były do druku w r. 1907-ym, a nawet wcześniej. Ale po różnych opóźnieniach i przeszkodach ukazały się w handlu księgarskim dopiero w r. 1914-ym. Przeszkody wypływały z całego charakteru książki, mówiącej naprzykład o ludziach ogólnie znanych w Dublinie, nie zmieniając zupełnie ich nazwisk, zwłaszcza jednak z treści jednej z nowel, której postaci wypowiadają bardzo swobodne refleksje o królowej Wiktorji i prywatnem życiu Edwarda VII-go Wobec wahań wydawcy, obawiającego się konfiskaty, Joyce zwrócił się do samego,,. Jerzego V, pytając, jak zapatruje się na tę sprawę i przesyłając mu odnośne ustępy. Odpowiedź nadeszła z kancelarji królewskiej, która zawiadamiała autora, że etykieta dworska nie pozwala monarsze na wypowiadanie się w podobnych kwestjach. Wobec tego wydawca zdecydował się na drukowanie książki, za złożeniem przez Joyce'a kaucji na pokrycie kosztów ewentualnego

procesu.. Nowele wyszły tedy, ale do rąk samego pisarza dostał się jeden tylko, zachowany dłań egzemplarz. Cały nakład został wykupiony przez niewiadomego nabywcę i spalony na miejscu w drukarni. Dopiero wydanie z r. 1914 znalazło się na rynku księgarskim.

Losy Portretu artysty były mniej dramatyczne. Bądź co bądź jednak, żadna z firm angielskich nie chciała podjąć się wydania rzeczy. Joyce zmuszony był wobec tego szukać szczęścia u wydawców amerykańskich i znalazł u nich większe względy. Książka ukazała się w New-Yorku, w r. 1916-ym i zdobyła odrazu niemały rozgłos. Ale zdobyła go głównie dzięki zaciekłym napaściom krytyki, przeważnie protestanckiej, oburzonej nadewszystko śmiałością, z jaką autor poruszał w niej zagadnienia płciowe.

Ta śmiałość miała zmobilizować przeciw niemu z powodu Ulyssesa wszystkie skojarzone siły hypokryzji. Do drukowania rzeczy przystąpiło jedno z czasopism amerykańskich, a mianowicie: The little Review. Ale wnet poczęto dopatrywać się w niej obrazy moralności i, na skutek procesów wytaczanych jej z tego powodu przez „Ligę ku wytępieniu rozpusty“, wydawczyni pisma musiała zawieszać czterokrotnie dalsze drukowanie utworu. W końcu cenzura postawiła ostateczne veto. Wówczas to podjął inicjatywę wydania rzeczy dom Shaekspeare and Company w Paryżu.

Wszystkie te zajścia, konfiskaty i protesty stworzyły naokół imienia Joyce‘a u szerszej publiczności legendę skandalu. Ale nie zapominajmy, że moralność burżuazyjna postawiła tak samo swego czasu na indeksie Flaubert‘a, Baudelaire‘a i Whitman‘a. Natomiast wykluczonem jest całkowicie, ażeby w sferach intelektualnych gdzie Joyce znalazł bardzo gorących zwolenników, brano wulgarną pornografję, która dla owych niepowołanych stróżów cnoty stanowi zasadniczą treść jego dzieła, za czyste wartości literackie. stawiające go w rzędzie najbardziej wybitnych pisarzy naszej epoki. Zachodzi nawet wprost pytanie, czy ci potępiciele zrozumieli wogóle jgo dzieło, mało dostępne dla przeciętnego czytelnika.

Istotnie, sama już technika pisarska Joyce‘a stawia tego czytelnika wobec trudności, z któremi nie spotykał się dotąd często w literaturze powieściowej. Na wielu punktach Joyce jest zdecydowanym i dziś już naśladowanym nowatorem. Już w ostatnich nowelach zaniechał prawie całkowicie naracji, zastępując ją djalogiem, długimi monologami wewnętrznymi swych postaci, w końcu drobiazgowem zanotowywaniem zarówno faktów, jak barw, woni i dźwięków, nie trzymając się w tem na pozór żadnej wytycznej linji logicznej. Wreszcie zapożycza z katechizmu spotykane tam jedynie formy pytań i odpowiedzi. Joyce chowany był u Ojców Jezuitów w Dublinie i przejął ze swego wychowania religijnego nie to tylko. Oświadcza sam, że wywarło ono na niego wpływ niezaprzeczony i dzieło jego świadczy o tem wyraźnie. Przesycił je symbolistyką; włożył w nie cały symbolizm Kościoła. Uderza to zwłaszcza w „Ulyssesie. W Portrecie artysty również jest symbolicznem samo imię i nazwisko centralnej postaci książki, Szczepana Dedalusa. Święty Szczepan był pierwszym z męczenników. Dedalus architektem labiryntu i ojcem Ikara. Ale bohater Joyce‘a jest zarazem nim samym w młodzieńczych latach, także, jak dowiemy się z Ulyssesa, — Telemakiem, człowiekiem, którego imię greckie oznacza „Zdala od wojny“, a więc mężem nauki czy artystą, który żyje na uboczu od zgiełku i gorączki walki o zdobycze materjalne i odgradza się od niego, żądny jedynie poznania i zrozumienia.

W Ulyssesie symbolistyka objęła już wszystko. Wszystkie postaci są tu zarazem realnemi i symbolicznemi, samo zaś dzieło stanowi przetransponowanie niejako Odyssei na nutę spółczesną, pokazanie nowoczesnego Ulyssesa w warunkach stworzonych przez dzisiejszą cywilizację i wobec zagadnień naszej epoki. Syn Laertesa był od lat szkolnych ulubionym bohaterem Joyce‘a. Upodobał go sobie szczególnie za jego cechy ludzkie, właściwie mówiąc, za jego ułomności, czyniące go nam nierównie bliższym od innych postaci cyklu epicznego. Dlatego zapragnął odtworzyć go w atmosferze naszej doby.

Monument książkowy, zobrazowujący jego poczynania, liczy 800 stron i składa się z 18-tu rozdziałów. Akcja toczy się w Dublinie i ciągnie od godziny 8-ej zrana do 3-ej w nocy. Każdy rozdział obejmuje jedną godzinę. Od 8 do 11-ej, w trzech pierwszych rozdziałach — tak, jak w pierwszych śpiewach Odysseji—występuje na widownię Szczepan Dedalus—Telemak. Bohaterem dwunastu następnych rozdziałów jest Leopold Bloom — Ulysses, którego dzień rozpoczyna się od tejże co Telemaka godziny. W rozdziałach 16-ym i 17-ym, towarzyszy mu odnaleziony przezeń Dedalus-Telemak. Wreszcie rozdział ostatni wypełniony jest monologiem wewnętrznym żony Bloom‘a, Molly, która obudził, kładąc się przy niej, tak jak rozdział czwarty, mający odpowiadać początkowi przygód Ulyssesa, pokazuje go nam wychodzącego z domu i żegnającego się ze swoją Penelopą—Molly, której przynosi przykładnie śniadanie do łóżka. Dobry mąż, dobry ojciec, przywiązany do swego kraju, swej rodziny, swej żony, wrażliwy na cierpienia innych, ale nie wolny od słabości ludzkich—takim pokazują Ulyssesa jego historjografowie i takim zrobił Bloom‘a Joyce. Prowadzi nas jego śladem na ulice, do kąpieli, na pogrzeb, do sali redakcyjnej, restauracji, bibljoteki, baru, kliniki położniczej, gdzie odwiedza jedną ze swych przyjaciółek, wreszcie do domu publicznego, gdzie zapóźnia się długo, jak Ulysses w objęciach Cyrce i skąd wychodzi stępiały, zmęczony, syt rozkoszy zmysłowych i po obfitych libacjach, by wrócić wkońcu do rodzinnego ogniska. O wszystkich przejawach instynktu płciowego mówi Joyce bez obsłonek, ale mówili o nich w takiż sposób wielcy kazuiści, jak choćby Escober y Mendoza.

Jak już zaznaczyliśmy, książki jgo rozsnuwają się w specjalny sposób. W Ul'y s s e's'i e szcze-

gólniej niema zgoła opowieści. W treść przedmiotu i w istotę myśli postaci zarówno pierwszorzędnych, jak i drugorzędnych, wprowadzają przedewszystkiem czytelnika ich rozmowy, refleksje i monologi wewnętrzne. Patrzymy ich oczyma i wnikamy po przez nie w to, co się dzieje naokół nich. Daje to niezwykłe złudzenie życia w jego ciągłem stawaniu się i różnorodności. A złudzenia tego nie osłabiają bynajmniej obciążające rzecz na pozór długie dyskusje filozoficzne, literackie, teologiczne, prowadzone przez różne postaci książki. Autor umiał wcielić je do niej organicznie; zlewają się zawsze z tokiem akcji, atmosferą, nastrojem.

Tak przedstawia się kapitalne dzieło Joyce'a—dzieło nawskroś ludzkie, bo pokazujące, po przez ich wędrówkę ziemską, istoty z krwi i kości, urobione z cnoty i grzechu, porywów ducha i ułomności ciała.

O KRÓLU UBU SŁÓW KILKA*).

Dokoła tego utworu, do niedawna białego kruka bibliograficznego, wytworzyła się zczasem prawdziwa legenda. W autorze widziano genjusza, przedwcześnie zgasłego, w jego tragi-farsie arcydzieło pomnikowe. Inna jest rzecz, że niejeden z tych wielbicieli powtarzał swe pochwały na wiarę tradycji ustnej, znając książkę jedynie ze słyszenia. Nie ulega natomiast wątpliwości, że postać Ubu stała się obecnie prawie symboliczną. Że zaś cała akcja sztuki toczy się w Polsce, więc wydawało mi się, że należy Królowi Ubu poświęcić nieco uwagi.

Alfred Jarry (1873—1906) ułożył swą tragi-farsę wraz z Charles Morin na ławach szkolnych, mając lat 15. Dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności zainteresowało się nim paru pisarzy; rzecz była grana dwukrotnie i wydana w książce, wywołując podziw lub oburzenie generacji współczesnej. Późniejsze powieści Jarry'ego, który zresztą umarł bardzo młodo, nie usprawiedliwiły nadziei, jakie w nim pokładano. Ponowne wydanie tego w mgłę legendy spowiniętego utworu wskrzesiło znów ożywioną polemikę literacką.

Oto w kilku słowach treść tej sztuki arcydziwnej. Dowódca gwardji króla polskiego Wacława, Ubu hrabia Mondragome i eks-król Aragonu jest żarłokiem, pijanicą, tchórzem, zarozumialcem, chytrym chciwcem i okrutnym, niechlujnym kretynem. Nie brak mu zresztą pewnego zwierzęcego sprytu. Podbechtany przez żonę, starą megerę, ambitną, lubieżną i przebiegłą, staje na czele spisku przeciwko swemu dobroczyńcy. Wraz z kapitanem Bordure, swym sprzymierzeńcem, morduje króla Wacława, całą jego rodzinę, z wyjątkiem królewicza Bougrelasa, który szczęśliwym trafem uchodzi mordercom, i zagarnia tron polski przy oklaskach ambitnych magnatów i ciemnej czerni. Nazajutrz niemal po uzurpacji zachowuje się jako tyran dziki i ograniczony. Każe wyrżnąć przeważną część arystokracji dla opanowania jej bogactw, wydziera ostatni dobytek włościanom. Wspólnika swego, kapitana Bordure, wsadza do lochów twierdzy Toruńskiej. Bordure ucieka do cara Aleksego Michajłowicza i namawia go do najazdu Polski dla obrony wydziedziczonego królewicza Bougrelasa. Na polach Ukrainy odbywa się humorystyczna batalja, w której, po różnych perypetjach groteskowych, armja Ubu została pobita i sam on chroni się z kilku kurtyzanami na Litwę. W Warszawie tymczasem lud, doprowadzony do rozpaczy zdzierstwem Baby Ubu, buntuje się i przywraca do władzy Bougrelasa. Baba Ubu dostaje się przypadkiem do jaskini, która służyła za schronisko dla Ubu. Bougrelas z oddziałem złożonym z Jana Sobieskiego, P. Leszczyńskiego, jen. de Lascy etc. atakuje Ubu. Ubu ze strachu broni się bardzo walecznie i wraz ze swą żoną uchodzi na statku, który nieciekawą tę parę wiezie z powrotem do Francji czy też do Hiszpanji.

Rzecz cała powstała, jako parodja na pewnego pedagoga niecierpianego w szkole Jarry'ego. Pisana była zbiorowo w gronie kolegów, z których każdy dorzucał swych 5 groszy. Starali się oni, jak nieraz podrostki, przelicytować się w jaskrawym i tanim cynizmie. Sztuka aż się roi od przekleństw ordynarnych i dowcipów niewybrednie skatologicznych. Niektórzy krytycy chcieli dopatrzeć się w tej farsie głębokiej satyry społecznej, godzącej w podstawy psychiki burżuazyjnej a ośmieszającej równocześnie sentymentalizm i tradycyjność romantyczną. Warunki powstania Króla Ubu i wiek jego autorów A. Jarry'ego i Ch. Morina wystarczają na obalenie tej hipotezy. Młodzieńcy chcieli się poprostu zabawić, a inspiracji szukali w rubasznym i bujnym stylu Rabelaisa i w trywialności podniesionej do wyżyn doktryny przez kilku naturalistów panujących w literaturze ówczesnej. Sama sylwetka Ubu jest transpozycją na czarno i brudno słynnej postaci Falstafa Szekspirowskiego. Na modłę Szekspira też nagromadzili kakofonję rozbrajająco naiwnych anachronizmów i absurdów wszelakich.

Król Wacław, Jan Sobieski, Stanisław Leszczyński, car Aleksy Michajłowicz i t. p. przewijają się przed nami w sarabandzie humorystycznej. Dlaczego A. Jarry wybrał Polskę jako tło akcji swego odpychającego bohatera? Trudno oczywiście odpowiedzieć z całą pewnością. Może prototyp Ubu—pedagog skarykaturowany przez rozhukanych młodzianów, był nauczycielem historji i nudził ich wykładami z dziejów polskich. Może czytali kilka ballad jadowitych Heinego, drwiącego z emigrantów polskich rozproszonych po świecie w obronie sprawy narodowej... Najprawdopodobniej jednak Polacy byli dla Jarry'ego i jego towarzyszy wzorem narodu egzotycznego o romantycznym podkładzie. Napisali — Polacy, ponieważ coś niecoś o nas słyszeli, jak mogli byli napisać Etruskowie, Persowie, Assyryjczycy... Przykład Szekspira, lokującego w jednym ze swych dramatów Czechy na brzegu morza, upoważniał do najszerszych licencji z prawdą historyczną czy geograficzną. Zresztą, jakkolwiek traktowani z humorem, Polacy w sztuce Jarry'ego wyglądają raczej sympatycznie, są ofiarami drapieżnej zwierzęcości Ubu i Ubusowej. Niebrak im ani idealizmu, ani zapału romantycznego. Zapewne wolelibyśmy, żeby Ubu, który nie jest Polakiem, popisywał się w innym kraju, żeby traktowano nasze dzieje z większą powagą i sza-

*) A. Jarry. Ubu Roi ou les Polonais. Chez Fasquelle, Paris, 1921.

cunkiem. Tragizować jednak naprawdę niema powodu. Król Ubu jest kapitalnym humbugiem, groteską umyślnie wypotwornioną, czasem komiczną, czasem obrzydliwą z powodu stylu chorobliwie skotologicznego. Posiada niezaprzeczone walory sceniczne. Postać Ubu jako symbol panoszącego się chamstwa, niechlujnego fizycznie i moralnie, przeszło do literatury. Sztukę tę poraz pierwszy grano w 1888 r. w teatrze Marjonetek, do którego się nadaje najbardziej.

W 1896 r. wystawił ją teatr de l'Oeuvre, który wznowił ją nie bez powodzenia w tym sezonie. Pod względem inscenizacji jest to próba wcale ciekawa. Ucharakteryzowanie i strój bohaterów są mocno stylizowane według rysunków i wskazówek pozostawionych przez Jarry'ego. Dekoracje zredukowano do minimum i również ustylizowano. Jarry bowiem pragnął, aby w Królu Ubu, jak w teatrze szekspirowskim, statystów i dekoracji prawie nie było, zastępować je winna wyobraźnia widza, pochłonięta przez akcję zasadniczą głównych postaci. Nikomu z Francuzów na myśl nawet nie przyszło upatrywać w sztuce coś ubliżającego dla Polski, ani też przypuszczać, że daje ona wizerunek naszych dziejów i naszego charakteru narodowego. Jesteśmy stanowczo na tym punkcie przeczuleni i zbytecznie podnoszono alarm w jednym z naszych dzienników z powodu wystawienia Króla Ubu w Paryżu. Jest to sprawa czysto literacka, nie mająca nic wspólnego ani z uchybieniem naszej godności narodowej, ani z naszą propagandą we Francji.

Edward Woroniecki.

LITERATURA I SZTUKA

U OBCYCH.

F. J. Bonjean: Une histoire de douze heures. Okropności wojny dostarczyły już we wszystkich krajach przedmiotu do licznych opowieści. Większość tych dzieł wprowadzała w nią bezpośrednio, inne stawiały wobec jej następstw. Książka pana Bonjean obraca się naokół niej również, zwracając się jednak do tematu, jak dotąd, o ile się zdaje, niewyzyskanego, przynajmniej w powieści francuskiej. Próbuje pokazać w bardzo ciekawym skrócie, jak przeżywali i w jaki sposób reagowali na najcięższą dla wolnego człowieka mękę niewoli jeńcy wojenni, zwłaszcza zaś pewna ich kategorja, a mianowicie przedstawiciele elity społecznej i duchowej, najbardziej świadomi i stąd najdotkliwiej odczuwający udrękę bezsilnego szamotania się w klatce, o której kraty odbijają się tylko głuche i zmącone echa wydarzeń. Pisarz zgromadził ich sześciu: poetę i myśliciela Servier'a, którego zrobił w tej książce, mającej wszelkie pozory autobjografji, wyrazicielem własnych poglądów, malarza, filozofa, inżyniera, oficera zawodowego i arystokratę. Rzecz rozpoczyna się w południe w baraku, gdzie mieszka Servier, a kończy o północy we wspólnem pomieszczeniu malarza i arystokraty. Jest więc dosłownie historja dwunastu godzin, podczas których odmienne światopoglądy tej garstki ludzi, połączonych tu przypadkowo przez złe losy, ścierają się w bolesnem naprężeniu, wytworzonem przez całą atmosferę ich życia. Autor uczynił z nich zresztą przedewszystkiem symbole, wyrażające różne formy stosunku do zagadnień wysuniętych naprzód przez wojnę. Każdy z nich tłomaczy inaczej, odczuwa innym bólem i widzi pod innym kątem tragiczny kataklizm wstrząsający światem. Każdy czepia się innej nadziei i czepia tem rozpaczliwiej, że niewola przeczuliła ich wrażliwość do ostatecznych granic. Gdzie wyjście, gdzie ratunek, co zabliźni najskuteczniej krwawiące rany? Każdy szuka innej drogi, wskazuje inne środki.

Nie wszystko w tej ewokacji tylu gorzkich przemyśleń całej myślącej ludzkości podczas długich lat wojny i po niej stoi na wysokości zamierzeń autora. Są w niej strony niedociągnięte i niepotrzebne, ale więcej nierównie momentów wysoce patetycznych, obnażających ukryte głębie duszy i najistotniejsze pobudki czynów.

Vicente Blasko Ibanez. „El Prestamo de la difunda“. W niniejszym zbiorze krótkich powieści ujawniają się jasno zalety i wady jednego z najwybitniejszych współczesnych beletrystów hiszpańskich. Gdy Ibanez skreśla typ tancerki francuskiej, cieszącej się wielkiem powodzeniem, a żtąd bogatej w futra i klejnoty—Szkota, Macpherson'a, mającego upodobanie do **whisky**; ks. angielskiej, która jest właścicielką całych ulic w Londynie, obszernych parków, gdzie polują na lisy jeźdźcy w czerwonych żakietach, galopujący przy dźwiękach trąb, zamków w Szkocji, nad zielonemi jeziorami, jak opisywane w powieściach Walter Scott'a, obszernych włości w Irlandji, które bywały niekiedy widownią zamachów zamaskowanych fenjan"—nie zainteresuje czytelnika, bo jest w tych postaciach coś martwego: autor nie odczuwa ich, brak im prawdy. Ale skoro tylko Ibaneza przenosi się do krajów mało Europejczykowi znanych, do Argentyny, Meksyku lub Chili, daje drgające życiem i prawdą charakterystykę zarówno miejscowości, jak i ludzi i budzi istotne zaciekawienie.

Pierwsza opowieść, która dała tytuł zbiorowi, przedstawia samotnego zbiega, śród wrogich życiu ludzkiemu gór, między Argentyną a Chili. Jest on przedstawicielem rasy **gauchos'ów**, ze wszystkimi jej nałogami i zaletami;—człowiek to miłujący napoje wyskokowe, skory do noża, ale posiadający pewną wrodzoną uczciwość, odwagę i godność osobistą, które równoważą poniekąd jego wady. Konwencjonalne są nieco typy meksykańskich generałów rewolucyjnych i ich żon; niemniej jednak, są to ludzie czynu, a Ibanez składa najświetniejsze dowody swego talentu, gdy pisze o czynie, energji i bohaterstwie.

Akcja jednej z najbardziej może wstrząsających z opowieści w zbiorze, o którym mowa, rozgrywa się na ulicach Meksyku nocą, na tych jasno oświetlonych i zazwyczaj pustych ulicach, gdzie domy wydają się niezamieszkane i pogrążone we śnie, jakkolwiek po za okiennicami sto oczu gotowych jest zawsze widzie wszystko—i więcej niż wszystko—co może się zdarzyć. „W pierwszych latach rewolucji milczenie bywało niekiedy przerywane przyjemnemi rozrywkami. Oficerowie jeździli po ulicach wynajętymi samo-

chodami, strzelając z pistoletów. Strzelali wzajemnie do siebie z samochodu do samochodu".— Autor okrasza opowieści swoje tonem cynizmu. Wierzy w uczciwość ludzi, ale nie złożyłby na to przysięgi. Lubuje się bardzo w okropnych kontrastach. Z upodobaniem skreśla typy ludzi wyjątkowych, lub takich, którzy, dzięki nadzwyczajnym okolicznościom, stali się wyjątkowi.

Z ogólnej liczby czternastu w zbiorze, w siedmiu opowieściach opisuje zdarzenia i epizody z wielkiej wojny. Nie cnota lub gorliwość, lecz energja i niezależność cehuje bohatrów Ibaneza. Ostatni kartki książki poświęca rozbiorowi bajki La Fontaine'a „Konik polny i mrówka", a to z okazi zeszłorocznej setnej rocznicy narodzin jego. Ibanez broni gorąco sprawy konika polnego przeciw zaborczej iskąpej mrówcc. Bohaterem jest samotny, peen energji, krótki mający żywot **cicada**—czyli **guerrillero**, torreador, przemytnik, **conquistador**, który zamierza do „godziny chwały", odcina się chwalebnie na jednostajnem tle szarych, powszednich dążeń czowieka.

OBRONA MIENIA.

Na walnem Zebraniu członków Związku obrony mienia Polaków poszkodowanych na terytorjum b. cesarstwa rosyjskiego z dnia 25 marca r. b. zapadły uchwały następujące:

A) W sprawie Konferencji Genueńskiej. Po wysłuchaniu referatu Vice-Prezesa Zarządu Związku Sędziego Sądu Najwyższego A. Półkozic-Wolskiego Walne Zebranie jednomyślnie uznaje, iż dla obrony praw i interesów Obywateli Polskich winny być na konferencji Genueńskiej postawione i definitywnie przeprowadzone następujące postulaty: 1) zanulowanie wszystkich dekretów władz sowiecko-bolszewickich, dotyczących mienia polskiego w Rosji sowieckiej i na Ukrainie; 2) całkowita restytucja majątku, praw i interesów polskich, w jakikolwiek sposób poszkodowanych, oraz indemnizacja kompletna poniesionych strat; 3) przywrócenie prawa własności i spadkobrania, oraz swobód indywidualnych i gwarancji prawnych na terenach Rosji i Ukrainy i 4) ustalenie stosunku obywateli polskich do przyszłej Rosji i jej przyszłych zobowiązań, jako cudzoziemców narówni z obywatelami innych państw zaprzyjaźnionych z nami, a w szczególności Francji, związanej z nami traktatami i uczuciem przyjaźni narodowej.

B) W sprawie traktatu handlowego z Rosją Sowiecką. Walne Zebranie uchwala, iż przy zawarciu traktatu handlowego z Rosją Sowiecką należy przedewszystkiem żądać:

1) aby Rząd Sowiecki zapewnił obywatelom polskim, jako cudzoziemcom, wszelkiego rodzaju bezpieczeństwo życia, i wolności osobistej, jako też gwarancje nietykalności ich mienia, znajdującego się w Rosji.

2) Konsekwencją powyższego słusznego stanowiska, bez czego nie może być normalnych stosunków pomiędzy obydwoma krajami, należy uznać restytucję praw własności dla wszystkich obywateli polskich, posiadających majątek nieruchomy i ruchomy w Rosji, oraz prawo do wolnego rozporządzania takowym.

OD WYDAWNICTWA.

Uprzejmie prosimy Sz. Prenumeratorów o uregulowanie prenumeraty za kwartał II.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego" wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **80 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniową dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch", Kraków, ul. Szczepańska 9.

„ „ Poznańskie i Pomorze „Ruch", Poznań, ul. Pawła 1.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE" Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. sukc. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.